

## Tomasz Merta: Tyrmand w obronie Ameryki

Na wszystkich swoich wykładach i we wszystkich esejach starał się przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: jak to się stało (i jak to w ogóle jest możliwe), że niechęć, a może nawet nienawiść do kapitalizmu jest tak powszechna; dlaczego Amerykanie niedoceniają wszystkich niewątpliwych zalet swojej demokracji?



Na wszystkich swoich wykładach i we wszystkich esejach starał się przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: jak to się stało (i jak to w ogóle jest możliwe), że niechęć, a może nawet nienawiść do kapitalizmu jest tak powszechna; dlaczego Amerykanie niedoceniają wszystkich niewątpliwych zalet swojej demokracji? - przeczytaj tekst z książki *Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane*, która ukazała się nakładem naszego wydawnictwa

Marek Hłasko opisuje w *Pięknych dwudziestoletnich* zauroczenie – swoje i rówieśników – wszystkim, co amerykańskie. Z miłości tej wyleczył go dość radykalnie pobyt w USA. Z bliska obrazek nie wyglądał już tak pięknie. W ciągu minionych lat wielu Polaków przeszło podobną kurację wstrząsową. Pod koniec lat sześćdziesiątych zdarzyło się to tak że Leopoldowi Tyrmandowi. To, co danemu było obserwować, było dość przerażające.

Amerykańska demokracja, symbol wolności dla wielu mieszkańców Europy Wschodniej, stała się dla Amerykanów niemal symbolem wszelkiego zła, czymś upokarzającym. Rzeczą niedopuszczalną było chwalić cokolwiek: od polityki zagranicznej zaczynając, a na policji i rzekomym braku wolności kończąc. Szczególnie tępiony był kapitalizm, za pieniądze kapitalistów zresztą. Swoisty narodowy masochizm. Okazało się, że nienawiść do kapitalizmu jednoczy komunistów i... Amerykanów. Czy nie spotkaliście nigdy Amerykanów przekonanych, że żyją w państwie policyjnym i niemoralnym? Mnie się to kilkakrotnie zdarzyło.

Nie mogąc się z tym pogodzić, Tyrmand postanowił bronić Ameryki przed nią samą i niejako wbrew jej woli. Na wszystkich swoich wykładach i we wszystkich esejach starał się przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: jak to się stało (i jak to w ogóle jest możliwe), że niechęć, a może nawet nienawiść do kapitalizmu jest tak powszechna; dlaczego Amerykanie niedoceniają wszystkich niewątpliwych zalet swojej demokracji?

Całkowitą winą za ten stan rzeczy obciążał dominację myśli liberalnej w amerykańskiej kulturze (dodać koniecznie trzeba, że amerykańscy

„liberałowie” to wszelkiego autoramentu lewicowcy i postępowcy, nie mający nic wspólnego z liberałami w znaczeniu europejskim – ci ostatni zwani są w USA libertarianami).

W swym szkicu *Capitalism and Culture* Tyrmand analizuje te procesy zachodzące w kulturze, które jego zdaniem stały się bezpośrednimi przyczynami załamania się etosu kapitalizmu i amerykańskiej demokracji. Jeszcze w XIX wieku dla Balzaka czy Thackeraya kapitalizm był nade wszystko wspaniałą możliwością zniesienia socjalnych barier, Wielkim Wyrównywaczem, który skierowany był przeciw arystokracji posiadającej nieuzasadnione przywileje – w sumie więc czymś całkowicie pozytywnym. Następne pokolenie pisarzy, szukające inspiracji w przedmarksowskich utopiach i teoriach samego Marksa, już inaczej postrzegało świat. Przełomowa okazała się powieść E. Zoli *Germinal*. Sposób, w jaki został w niej opisany strajk górników, zadecydował niemal na tych miast o zmianie stosunku opinii publicznej do kapitalizmu. Odtąd być przeciw kapitalizmowi znaczyło być

przeciw krzyżającej nie sprawiedliwości, a litość stała się argumentem w polityce i ekonomii.

Ta krytyka kapitalizmu w Europie, którą dawało się uzasadnić moralnie (np. Zola musiał zająć stanowisko wobec głodu górników), przeniesiona automatycznie do Stanów Zjednoczonych, takiego uzasadnienia już nie miała. Tyrmand pisze: „Żebrak w Nowym Jorku nigdy nie prosił o chleb, ale o 25 centów, by ugasić pragnienie filiżanką kawy”. Sytuacja wyjściowa Nowego Świata była całkowicie odmienna – dlatego też amerykański antykapitalizm koncentrował się raczej na nadużyciach i niesprawiedliwości, na faktach jednostkowych, niż na powszechności nędzy. Szczególną rolę odegrali dwaj amerykańscy pisarze: Jack London i Upton Sinclair.

Twórca *Martina Edena* prezentował w tej autobiograficznej powieści świat podzielony na do brych i złych: biedny chłopek przez jego socjalistycznymi ideami stawał przeciw okropnym kreaturom – kapitalistom. Od Londona zaczyna się przekonanie o atrakcyjności i moralnej wyższości antykapitalizmu. Znow zacytujmy Tyrmanda: „Jego [Martina Edena] śmierć, wzruszająco opisana, kazała każdemu człowiekowi tęsknić za barykadami”. Sinclair z kolei lubował się w opisach biedy proletariatu, której winien był oczywiście kapitalizm. Logika musiała ustąpić miejsca silnym emocjom i analizom socjologicznym rodem z broszur popularyzujących (czytaj: wulgaryzujących) marksizm.

I wojna światowa stała się decydującym „dowodem winy” kapitalizmu. Nie można było znaleźć w niej jasnego uzasadnienia śmierci milionów ludzi. Jednak wojna ta była w istocie spóźnionym finałem XIX - wiecznego imperializmu i niewiele miała wspólnego z osądzanym na jej podstawie kapitalizmem. W efekcie opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych w coraz większym stopniu utożsamiała się z poglądami środowisk lewicowych i liberalnych. To z kolei spowodowało przekształcenie się myśli liberalnej w nie zwykle dobrze sprzedający się towar. Wkrótce dominowała w literaturze i filmie, stopniowo także monopolizowała środki masowego przekazu. Rozwijała się szczególnie w kręgach intelektualistów, w środowiskach akademickich i dziennikarskich.

Skutki tego procesu, według Tyrmanda, były tragiczne: nie ograniczone możliwości manipulacji informacjami, terror mass-mediów, które potrafiły na przykład uczynić z CIA wroga społeczeństwa nr 1, deformacje w sferze kultury, a także podważenie norm stosunków międzyludzkich. Zatarła się granica między prywatną a publiczną sferą życia, za gubiono istniejące od wieków pojęcie normalności. Rodzinę uznano za strukturę represywną, zapominając, że także przyzwolenie

na wszystko nie prowadzi wprost do osiągnięcia szczęścia. Szczególnie niepokojące wydawało się Tyrmandowi rozdzielenie seksu i miłości. Nie godził się ze stwierdzeniem, że gdy dwoje ludzi wchodzi w seksualną relację, wtedy coś dzieje się między nimi.

Amerykanie zostali przekonani, że liberalny znaczy *ex definitione* nie tylko moralnie, ale i intelektualnie lepszy. Myśl konserwatywna została zepchnięta na margines. „Dyktatura” okazała się znacznie bardziej niebezpieczna od wszelkich komunistycznych agentur – casus wojny wietnamskiej, w czasie której to właśnie liberałowie rozbroili Stany Zjednoczone.

Można zapytać, czy Tyrmand nie przecenia czasem roli kultury, a literatury w szczególności. Jeżeli nawet tak się dzieje, to takie przerysowanie ma swoje dobre strony – jest to swoiste antidotum na niedocenianie świadomości ludzkiej i kształtującej ją kultury, powszechne w dobie teorii głoszących, że byt określa świadomość. Można się więc nie zgodzić, że *Czas apokalipsy* Coppoli jest amerykańskim odpowiednikiem *Rafflesa*[1] – ale zestawienie tych dwóch rzeczy winno nam dać do myślenia.

Tyrmand widział bez względną konieczność od budowania porzuconych norm i wartości. Najważniejsze dla niego i innych intelektualistów związanych z Rockford Institute i różnymi ośrodkami myśli konserwatywnej było wyciągnięcie z błota amerykańskich ideałów, które jak dotąd każdy mógł bezkarnie szargać. Środkiem do celu stało się przede wszystkim złamanie monopolu informacyjnego liberałów, stworzenie silnych kręgów opiniotwórczych, gotowych się przeciw stawić lewicowemu lobby. Nie szło o zlikwidowanie wszelkich tendencji liberalnych – raczej o konieczną dla każdej demokracji równowagę sił między elementami postępowymi i zachowawczymi,

która powoduje, że choć bitwy są staczane, to jednak żadna strona nie odnosi ostatecznego zwycięstwa. Myśl liberalna jest potrzebna, ale dyktat myśli liberalnej (jak i każdej innej) prowadzi do patologicznych zniekształceń demokracji.

Do tych ponurych rozważań życie dopisało dość sympatyczny finał. Lata osiemdziesiąte to właśnie lata przywrócenia owej równowagi, lata powrotu do źródeł i odbudowy amerykańskiego etosu. Czy zmiany te podważają wartość analiz Tyrmanda? Taki sąd byłby zdecydowanie przedwczesny. Nawet jeśli założymy, że to niebezpieczeństwo dla kultury amerykańskiej zostało zażegnane (a pozwolę sobie być innego zdania), to i tak jest to znakomita lekcja pokazująca niebezpieczeństwa tkwiące, potencjalnie, w każdej demokracji, której jednak uczyć się trzeba – bo wcale nie jest ona doskonałym, samoregulującym się systemem.

*Tomasz Merta*

Tekst pochodzi ze zbioru "Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane"

[1] Raffles – dżentelmen-włamywacz. Istnieje teoria, że dług której pojawienie się pierwszej książki o Rafflesie (1899) jest „początkiem końca” brytyjskiego imperium. Była to bowiem pierwsza

zaakceptowana powszechnie postać odrzucająca angielską moralność i niszcząca dotychczasowy wizerunek dżentelmena.